

Maciej Przybylski

**HONOR
LONTRUSA**



Maciej Przybylski
Honor Iontrusa

© by Maciej Przybylski
© by Wydawnictwo Literatura

Okładka: Magdalena Pilch

Korekta i skład:
Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska,
Aleksandra Różanek-Andrzejczak

Książka wydana we współpracy
z Urzędem Miejskim w Gnieźnie



Wydanie I
ISBN 978-83-7672-649-6

Wydawnictwo **Literatura**, Łódź 2018
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wydawnictwoliteratura.pl
tel. (42) 630-23-81
www.wydawnictwol**literatura**.pl

*Franciszce Nowickiej
i wszystkim Powstańcom Wielkopolskim w hołdzie*

Żonie, z miłością

Drodzy Czytelnicy,

powstanie wielkopolskie było jedynym tak dużym, udanym zrywem niepodległościowym w naszej historii. Doprowadziło do wyzwolenia spod okupacji niemieckiej niemal całej Wielkopolski. Podczas kolejnych rocznic tamtych wydarzeń pamiętamy o bohaterstwie walczących w nim Polaków. Ale czy tak naprawdę zdajemy sobie sprawę, dlaczego Polakom udało się zwyciężyć w tym powstaniu?

Oczywiście ważne były odpowiednie przygotowania do tego niezwykle trudnego i niebezpiecznego przedsięwzięcia oraz dobra organizacja działań już podczas samych walk. Świetnie spisali się również dowódcy – Stanisław Taczak oraz Józef Dowbor-Muśnicki, a niezwykle męstwo tysięcy powstańców walczących na ulicach polskich wsi, miast i miasteczek do dziś jest dla nas powodem do dumy. Jednak najważniejszym źródłem sukcesu całej insurekcji była współpraca i współdziałanie wszystkich Polaków: walczących i cywili, młodych i starszych, kobiet i mężczyzn, tych zamożniejszych i tych uboższych.

Pod nieobecność uczestniczących w działaniach zbrojnych mężczyzn zaopatrzeniem, kompletowaniem uzbrojenia oraz opieką nad rannymi zajmowały się kobiety, które dostarczały też korespondencję, roznosiły żywność i pracowały w łączności. Polscy duchowni użycali kościelnych budynków dla szkolenia polskiej kadry oficerskiej, sami organizowali formacje zbrojne, a nawet nimi dowodzili. Ziemianie na potrzeby armii ofiarowali setki

wierzchowców, konie pociągowe potrzebne dla taborów oddawali też chłopi. Robotnicy produkowali pociski artyleryjskie, a przedsiębiorcy na własny koszt wystawiali i ekwipowali całe oddziały.

Na różne sposoby do sukcesu powstania przyczynili się także najmłodszy Polacy, jak Antek – bohater książki, którą właśnie trzymacie w ręku. Każdy czuł, że jego postawa i czyny mogą mieć znaczenie dla naszej małej ojczyzny – Wielkopolski. Wierzę, że to właśnie dzięki takim osobom jak Antek możemy dziś cieszyć się wolnością. Zachęcam do zapoznania się z przygodami tego niezwykłego bohatera oraz do odwiedzenia Gniezna – pierwszej stolicy Polski, w którym nadal odnaleźć można przepiękne alejki, zakątki i ulice obecne na kartach tej powieści.



Prezydent Miasta Gniezna
Tomasz Budasz

Część I

MIASTO

Antek z ulicy Rybnej



Kamień wypuszczony z procy pomknął ze świstem w kierunku patrolu i huknął z impetem w hełm idącego z boku strzelca. Donośny brzęk rozszedł się po ulicy, jakby w kościele farnym zadzwonili na *Anioł Pański*. Żołnierze odruchowo odskoczyli w bok, zdejmując jednocześnie karabiny i rozglądając się w popłochu po okolicznych bramach i krzakach gęsto porastających okolice ulicy Świętego Michała.

Antek przywarł do zimnych kamieni kościelnego muru i patrzył z uwagą na poczynania Niemców. Ci, ochłonawszy nieco po pierwszym zaskoczeniu, na powrót zarzucili karabiny na plecy i – ciągle rozglądając się dokoła – podjęli marsz w kierunku centrum miasta.

Chłopak założył następny kamień w skórzaną kieszeń procy i naciągnął gumę. Kolejny pocisk zadudnił o żołnierski hełm. Tym razem nie zamierzał się chować. Wystawił głowę ponad ogrodzenie i ryknął na całe gardło:

– To na was w kościele grają, pofyrańcy*! Mszę żałobną!

Trzej żołnierze z wściekłością rzucili się do bramy kościelnej z zamiarem schwywania chuligana, ale Antek nie czekał. Skoczył w tył,

* Pofyran (gwar.) – ktoś niespełna rozumu, pomyłony.

pognał w kierunku kościoła Świętego Michała, okrążył apsydę i jednym susem przesadził niski płot tuż przy domku kościelnego. Zbiegł łukiem po stromiźnie sadu, zręcznie przeskoczył wysoki parkan i już był na tyłach kamienicy przy ulicy Trzemeszeńskiej. Stąd wystarczyło tylko przedostać się przez podwórze, przeciąć niepostrzeżenie ulicę i zaszyć się w bramie sąsiedniej kamienicy z widokiem na plac kościelny i żołnierzy biegających w poszukiwaniu urwisa.

– Możecie sobie szukać, opyłancy*! I tak nie znajdziecie – mruknął z kpina.

Odwrócił się na pięcie i wbiegł do bramy. Sobie tylko znanymi przejściami i ścieżkami przedostał się na ulicę Pocztową, stamtąd na Krzywe Koło, a potem – przez wysoki, ceglany mur do ogrodów dawnego klasztoru franciszekanów. Tam jego uwagę przykuły wiszące na starej jabłonce owoce. Były już mocno przemarznięte, ale wyglądały na dobre, wspiał się więc na drzewo, strząsnął kilka ostatnich i zeskoczył na ziemię. Już miał zacząć zbierać zdobycze, gdy za plecami usłyszał znajomy głos:

– Tej, patrzcie, co nam się tu przypaletało! Co tu robisz?

Antek zamarł. Powoli wyprostował się i odwrócił. Przed nim stał wysoki, barczysty chłopak w brudnych spodniach, rozczłapanych butach i nie pierwszej czystości czapce na głowie. Za nim stało jeszcze trzech podobnych do niego, choć młodszych brudasów. Tadek Małecki i jego trzęsąca całą okolicą banda. Paskudne typy...

– Pytam się, co robisz w moim fyrtlu**? Głuchy jesteś?

– A na co to wygląda? Nie widać, że jabłka zrywam? To nie ja jestem głuchy, tylko ty ślepy...

Urwał, bo Tadek jednym skokiem dopadł do niego i chwycił go za bluzę. Szarpnął chłopcem i zbliżył swoją twarz do Antkowej. W oczach dryblasa czaiła się groźba.

* Opyłaniec (gwar.) – brudas.

** Fyrtel (gwar.) – kwartał kamienic w mieście, rzadziej – dzielnica.

– Takiś hardy? – wycedził. – Nie podskakuj mi, cwaniaku...

– Nie mam zamiaru podskakiwać. Przed chwilą skoczyłem z drzewa i coś mi w nodze chrupnęło... – Antek wyszczerzył zęby w sztucznym uśmiechu, na co Tadek wykrzywił twarz w dzikim grymasie.

– Jeszcze słowo i tak cię deknę w łeb, że cię rodzona matka nie pozna – wyszeptał.

Na te słowa Antek zrobił się purpurowy. Strach nagle odpłynął, a jego miejsce zajął gniew. Czysta wściekłość. Oczy zaszyły mu mgłą i przez zaciśnięte zęby wycharczał:

– Od mojej mamusi wara!

– Bo co mi zrobisz? Może...

Nie dokończył, bo Antek z całej siły kopnął go w piszczel i gdy tamten skrzywił się z bólu, wyprowadził krótki cios, znajdując lukę między rękami natręta. Huknął go pięścią w podbródek, aż zadudniło, i nie czekając na reakcję pozostałych, pchnął zamroczonego Tadeka i skoczył do płotu. Miał cichą nadzieję, że uda mu się uciec dokładnie tą samą drogą, którą tu przybył. Tamci ciągle stali z szeroko rozdziawionymi ustami i patrzyli na leżącego na trawie i mamroczącego coś niewyraźnie przywódce. Ruszyli w pogoń dopiero, gdy ten machnął ręką w nieokreślonym kierunku i wyseplecił niewyraźnie:

– Biegnuć fa nim! Apać go! Fypko!

Gdyby nie fatalna sytuacja, w jakiej znalazł się Antek, parsknąłby pewnie śmiechem, słysząc te słowa, a raczej sposób, w jaki zostały wymówione. Teraz jednak nie było mu zbyt wesoło. Wspiąwszy się na parkan, rzucił kątem oka za siebie. Trzej chuligani pokonali już pół drogi do płotu i byli bardzo źli... A w dodatku diabelsko szybcy.

Chłopak przelazł przez płot, odbił się po drugiej stronie i skoczył. To znaczy chciał skoczyć, ale jakaś tajemnicza siła zatrzy-

mała go w powietrzu. Zawisł niezdarnie na obluzowanej desce, z nogami w górze i głową w dół.

– No, co jest?!

Szarpnął się rozpaczliwie raz i drugi, i wtedy usłyszał głośnie trzeszczenie. Chwilę trwało, zanim zdał sobie sprawę, że tego dźwięku nie wydała wcale spróchniała deska, tylko jego spodnie. Trzej napastnicy już byli na płocie, gdy zrozpaczony chłopak, przy akompaniamencie dartych do reszty portek, wylądował na trawie.

W sekundę go otoczyli. Porwały go silne ręce i poniosły szarpiącego się mocno, ale nieskutecznie, ku dziurze w płocie.

W klasztorным sadzie czekał Tadek. Było widać, że jest wściekły i zawstydzony jednocześnie. Dostał lanie od młodszego i mniejszego od siebie knajtki*, i to burzyło mu krew najbardziej. Dlatego nie ociągał się wcale i gdy koledzy postawili przed nim Antka, władował mu pięść w brzuch.

– A maf, draniu! Ja cię nauszę rofumu! Fęba mi wybiłef!

Antek zwinął się w pól i stęknął głucho. Przez chwilę nie mógł złapać tchu, kiedy jednak chwycił powietrze, podniósł głowę i z szyderczym, choć pełnym bólu uśmiechem powiedział:

– Bijesz jak dziewczynka... Nawet moja młodsza siostra lepiej się bije.

Tadek aż się zatrząsł z wściekłości. Wziął zamach i pewnie uderzyłby Antka ponownie, a potem znów, gdyby w miejscu nie osadziły go ostre słowa dobiegające od strony klasztoru:

– Dość! Co tu się dzieje?!

Chłopcy spłoszeni spojrzeli za siebie. Przy klasztorным murze, z groźną miną, podparty pod boki stał ksiądz Kubski.

– Pytam, co się tu dzieje? – powtórzył, ściągając brwi, ale zanim jeszcze przebrzmiały ostatnie słowa, czwórka urwisów rzuci-

* Knajtek (gwar.) – mały chłopiec.

ła się do ucieczki. Z małpią zręcznością przesadzili płot, zostawiając Antka leżącego w trawie i trzymającego się za brzuch.

Ksiądz podszedł do chłopca i pomógł mu wstać. Jego mina ciągle była surowa i nieufna.

– Co tu robisz, mały? Przyszliście kraść?

Antek pokręcił głową. Wskazał ręką w kierunku, w którym pierzchła banda Tadka, i rzucił tylko:

– Pobili mnie.

– Widzę. Ale myślałem, żeście się poszarпали o podział kradzionego.

– Ja nie mam z nimi nic wspólnego – zapewnił gorąco chłopak.

Ksiądz rozejrzał się po zapuszczonym sadzie. Dostrzegł jabłka strząśnięte z drzewa i pokręcił głową z dezaprobatą.

– Na takie zgniłki się połakomili...

– Nie, te jabłka to ja zerwałem – zaprzeczył cicho Antek i zaraz dodał, bijąc się w pierś: – Ale ja nie wiedziałem, że to czyjeś jest! Od dawna nikt już tu przecież o drzewa nie dba!

Ksiądz Kubski uśmiechnął się i pokiwał głową.

– To, że nikt nie dba, nie oznacza, że niczyje. Zapamiętaj to sobie, chłopcze... Ale przyznać muszę, że jesteś uczciwy. Uczciwy i odważny, że wzięłeś na siebie te jabłka. Inny na twoim miejscu wszystko zrzuciłby na pozostałych. Ot, choćby na tamtych czterech.

Antek nic nie odpowiedział. Przecież jeszcze chwilę temu tak właśnie chciał zrobić – winą za jabłka obarczyć Tadka i jego ekę*. Należało im się. Nie potrafił jednak skłamać. Nie księdzu.

Ksiądz Kubski był proboszczem parafii Świętej Trójcy, czyli kościoła farnego. To był znany i szanowany duchowny. Miał duży autorytet wśród dorosłych i posłuch u dzieci, którymi zresztą zaj-

* Eka (gwar.) – gwarowe określenie nieformalnej grupy, chłopięcej bandy; w okresie powstania wielkopolskiego również cywilna drużyna patrolowa.

mował się z wielką troską. Wprawdzie drogi Antka i proboszcza nie przecinały się zbyt często, jednak chłopak słyszał o duszpaste-rzu wiele dobrego.

– Nie powinienes się tutaj zapuszczać. – Ksiądz objął chłopaka ramieniem i skierował się ku zabudowaniom klasztoru. Antek, chcąc nie chcąc, podreptał razem z nim, podciągając opadające, fatalnie rozprute na siedzeniu spodnie. – Gdzie mieszkasz?

– Przy Rybnej, proszę księdza.

– Do szkoły chodzisz?

Antek nie odpowiedział. Wbił wzrok w ziemię i szedł obok księdza w grobowym milczeniu. Przez furtę w murze wyszli na ulicę Franciszkańską i skierowali się ku rynkowi. Proboszcz przyglądał się chłopcu z uwagą. Uśmiechnął się wreszcie i ponowił pytanie, choć znać było po nim, że dobrze wie, jaka będzie odpowiedź:

– To znaczy nie chodzisz do szkoły? Wolisz biegać po sadach i zrywać nie swoje jabłka, co? Wolisz bić się z takimi samymi jak ty w nadziei, że jakoś to będzie? A pomyślałeś, co będzie zimą? To już niedługo, za miesiąc, może półtora...

– No przecież mówię, że chodzę do Świętego Jana... – bąknął cicho chłopiec.

– A to dziwne... Często jestem w Świętojance, mam tam zajęcia z młodzieżą... I wiesz co? Jakoś nigdy cię tam nie widziałem... Ale może po prostu taki z ciebie pilny uczeń, że przeoczyłem cię, zaszytego gdzieś w kącie z kajetem i książką, a...?

Antek milczał uparcie, wpatrując się w bruk. Mierziła go i uwierała cała ta sytuacja, gdzie musiał – zupełnie nie wiadomo po co – opowiadać się proboszczowi jak na spowiedzi. W dodatku tak łatwo dał się przyłapać na kłamstwie. To prawda, że wolał wagarować niż siedzieć w ciasnej ławce szkolnej i zakuwać. To oczywiste, że nie przepadał za nauką, bo bieganie po ulicach

Gniezna było dużo ciekawszym zajęciem, ale za nic by się do tego nie przyznał. Czuł się coraz bardziej nieswojo.

W pewnym momencie przemknęło mu przez głowę, aby dać drapaka. Rozważył swoje możliwości: nogi miał szybkie i ksiądz z pewnością by go nie dogonił... Dlaczego więc nie spróbować? Już, już miał wyrwać się z objęcia duchownego, gdy w miejscu osadziły go słowa:

– Przecież wiesz, co czeka takich jak ty, wagarowiczów, włóczęgów i lontrusów*... – ksiądz zawiesił głos, aby osiągnąć lepszy efekt: – Święty Wojciech...

Antek zamarł. W jego uszach słowa te zabrzmiały jak świst noża. Ochronka, a właściwie dom sierot przy ulicy Świętego Wojciecha niedaleko katedry, to prowadzony przez Zgromadzenie Sióstr Służebniczek Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny zakład, w którym przebywały sieroty, dzieci bezdomne i zaniedbane. Miejsce, które młodym mieszkańcom miasta nie kojarzyło się najlepiej.

Antek – powiedzmy to szczerze – bał się tego ponurego, masywnego budynku, którym mamy straszły niesforne dzieci, a z którym wiązały się najczęściej przesadzone albo całkiem nieprawdziwe, choć przecież mrożące krew w żyłach opowieści starszych kolegów... Chłopiec unikał więc, jak się tylko dało, rozmów na temat sierocińca, ba, nawet do budynku nie zbliżał się podczas swoich włóczęg po ulicach. Dlatego tak bardzo niepokojące były słowa księdza Kubskiego i dlatego należało jak najszybciej zmienić temat.

– Babcia jest trochę chora i właściwie powinienem już wracać do domu... – wybąkał niepewnie. – Będzie się niepokoić...

– Poza tym, młody przyjacielu – proboszcz zdawał się nie słyszeć słów chłopca – ulice ciągle pełne są patroli. Nie trzeba

* Lontrus albo luntrus (gwar.) – łobuz, chuligan.

przecież wiele, żebyś naraził się Niemcom i wpadł w ich ręce. A po co? Co to da? Jaki pożytek przyniesie tobie albo twojej babci?

– Wojna już się kończy, proszę księdza. Na mieście mówią, że Niemcy skapitulują lada dzień. Królestwo Polskie jest już niepodległe!

– A skąd ty o tym wiesz?

– Czytałem w gazecie! – uśmiechnął się Antek, zadowolony, że udało mu się zmienić temat rozmowy i jednocześnie zabłysnąć wiedzą i obyciem. – W „Lechu” piszą o tym cały czas. Zresztą wszyscy o tym trąbią!

– To prawda – ksiądz w zamyśleniu pokiwał głową. – Rada Regencyjna ogłosiła niepodległość... Ale to jeszcze o niczym nie świadczy. Rada jest w Warszawie, a tutaj, w Wielkopolsce, wojna ciągle trwa.

– Ale już niedługo! – Chłopiec w przyływie entuzjazmu wyciągnął zza paska procę. – Dzisiaj jednemu tak przyrąbałem kamieniem w garnek, że aż zadudniło.

Ksiądz proboszcz bez ceregieli wyjął mu procę z ręki i – marszcząc brwi i machając groźnie narzędziem – powiedział:

– Myślałem, że jesteś mądrzejszy! Co ty sobie myślisz? Dla ciebie to zabawa, ale jak cię złapią, to odpowiesz za atak na niemieckiego żołnierza. Chłopcze, trafisz w takie miejsce, że będziesz tęsknił do ochronki Świętego Wojciecha jak do rodzinnego domu! Oczywiście, o ile cię wcześniej nie zastrzelą!

Chłopiec spuścił głowę zły na siebie, że nieopatrznie ponownie wywołał znienawidzony temat sierocińca.

– Dobrze, to teraz nieważne – rzucił pojednawczo ksiądz, widząc, że chłopiec zmieszał się mocno. – Mam dla ciebie jednak propozycję...

Wyszli na rynek i skierowali się ku farze.

– Potrzebuję takich jak ty, odważnych i sprytnych. Mam do wykonania pewną misję, ale brakuje mi pomocników...

Antek spojrzał na księdza z ukosa, a w jego oczach zapaliło się zainteresowanie, albo raczej nadzieja na rychłe zakończenie rozmowy.

– Wiesz – ciągnął duszpasterz, udając, że nie widzi tego spojrzenia – to jest dość delikatne zadanie. Wymagające dyskrecji. Umiesz dochować tajemnicy?

Chłopak skwapliwie przytaknął.

Przystanęli na rynku u wylotu ulicy Farnej.

– Dobrze, zatem przyjdź dzisiaj wieczorem do Świętej Trójcy. Będę czekał w kościele.

Antek znów przytaknął, w duchu jednak uśmiechnął się do siebie.

Niedoczekanie – pomyślał z satysfakcją, widząc, że rozmowa faktycznie dobiega końca i że za chwilę będzie wolny.

– A co z procą? – zapytał trochę zbyt hardo.

Ksiądz Kubski pokręcił głową.

– Rekwiruję – rzekł poważnie. – Z tego tylko kłopoty mogą być dla ciebie. Lepiej, jeśli na jakiś czas zatrzymam to u siebie.

Chłopiec już chciał zaprotestować, ale powstrzymał go surowy wzrok duchownego.

– Tak będzie lepiej. Czekam po wieczornej mszy – rzucił na pożegnanie i ruszył w kierunku kościoła.

Antek stał jeszcze chwilę z rękami w kieszeniach, spoglądając za duchownym, ale gdy tylko tamten rozpląnął się w tłumie ludzi, zwierząt i wozów, chłopak podciągnął rozprute i ciągle nie-
miłosiernie opadające spodnie, odwrócił się na pięcie i ruszył ulicą Fryderyka, pogwizdując wesoło. Choć dobry humor mąciła mu myśl o utraconej procy z nową, doskonałą gumą z dętki forda, to

jednak cieszył się, że spotkanie z proboszczem zakończyło się tak, a nie inaczej. Rzecz jasna, na wieczorną wizytę do kościoła się nie wybierał, bo nie chciał kusić złego – wszak ksiądz na pewno wymyślił coś, co musowo ograniczy Antkową wolność, a na to chłopiec nie mógł sobie pozwolić. A poza tym na odzyskanie procy i tak marne miał widoki.

– Się mówi trudno – mruknął do siebie, uśmiechając się szelmowsko na widok nadciągającego z przeciwka niemieckiego patrolu, i podniósł z ziemi kamyk. – Po diabła mi proca?

Chwilę później gnał jak szalony przez bramy, zaułki i klatki schodowe, ścigany krzykiem wściekłych, bezradnych żołnierzy.



Ulica Rybna była dość długa. Ciągnęła się od kościoła Świętego Jana pośród ogrodów, kamienic i zwykłych domów o szarych, niezdobnych fasadach, i łagodnym łukiem opadała w dół, ku ulicy Świętokrzyskiej i kościołowi Świętego Krzyża, stojącemu pośród cmentarza na znacznym wzniesieniu. To była cicha i spokojna okolica, zamieszkiwana w przeważającej liczbie przez robotników i rzemieślników, w ciągu dnia wypełniona odgłosami dobiegającymi z nielicznych warsztatów szewców, stolarzy i krawców. Domy tonące w zieleni i w dymie z ognisk palonych w ogrodach zdawały się drzemać w popołudniowym październikowym słońcu.

Ulicą z rzadka przemykał ktoś albo ku miastu, albo w kierunku Jeziora Świętokrzyskiego. Nic nie psuło leniwego, niespiesznego rytmu ulicy Rybnej. Pewnie dlatego, że Antka nie było w pobliżu. Bo kiedy się tu pojawiał, zawsze zaczynało się coś dziać. A to kamień z procy wybił szybę w mieszkaniu u pana Kowalskiego, miejscowego stelmacha*, a to ktoś pomazał kredą drzwi szewca

* Stelmach – rzemieślnik zajmujący się wyrobem wozów i części do nich.

Chrzanowskiego, a to znów świeżo uprana, susząca się na sznurze bielizna pani Katarzyny, wdowy po Matysiaku, w magiczny sposób przestała być śnieżnobiała... Właściwie nie było dnia, żeby nad ulicą Rybną przynajmniej raz nie zabrzmiał rozpaczliwy albo pełen wyrzutu wrzask: „Anteeteeek!”

Chłopak był jak nieokiełznany huragan przechodzący przez miasto, jak fala powodziowa wzbierająca i przerywająca wały, aby czynić spustoszenie wszędzie, gdzie się pojawi.

Ileż to wizyt, ba!, całych pielgrzymek mieszkańców ulicy przyjęła babcia Antka, iluż skarg od sąsiadów wysłuchiwała... Ile różg połamała na jego plecach w bezradności, a ilu uniknął dzięki swemu refleksowi i szybkim nogom? Nikt nie policzy.

Ale dziś, wyjątkowo, wracał do domu spokojnie i bez wybryków. Wprawdzie tu i ówdzie na podwórzu wypłoszył jakieś kury czy przepędził kamieniem gołębie z dachu kamienicy, ale na szczęście nie ucierpiała na tym żadna szyba ani niczyja duma.

Zatrzymał się pod bramą piętrowej kamienicy, spojrzął w górę w kuchenne okno i dał nura w czarną czeluść sieni.

– Głodny! – krzyknął donośnie, gdy tylko przekroczył próg małego, skromnie urządzonego mieszkania na piętrze.

– Gdzie się włóczyłeś cały dzień, niecnoto? – dobiegło go pełne wyrzutu pytanie.

Babcia siedziała na fotelu okryta kocem. W pokoju, mimo jasnego dnia, panował mrok – zasłony w oknie były do połowy zaciągnięte. Babcia miała chore oczy i nie lubiła jaskrawego słońca, dlatego na stoliku koło fotela paliła się lampa naftowa. Dawała jednak niewiele światła – akurat tyle, aby wyłuskać z mroku twarz kobiety. Pomarszczoną, zmęczoną, ale o bystrym spojrzeniu rzucanym zza okularów w grubych rogowych oprawkach.

– Miałem poważną rozmowę z księdzem – odparł Antek, całując babcie w policzek.

Powiesił kurtkę na wieszaku w kuchni, zdjął buty i wrzucił je do skrzyni stojącej przy drzwiach. Wszystko to robił w taki sposób, żeby nie zdradzić, że ma rozdarte spodnie.

– Nie gniewaj się, babciu. Musiałem załatwić kilka spraw.

– Widziałeś się z księdzem Kubskim? – w głosie starej kobiety zabrzmiało coś jakby niedowierzenie albo nadzieja.

– Skąd wiesz, że akurat z nim? W mieście jest dużo księży...

– Antek zajrzał do garnka i skrzywił się z niechęcią. – Znowu ślepe ryby*?

– Znowu, ale za to ze słoniną... To co z tym księdzem?

– Jak to co? Nic – rzucił się Antek, nalewając sobie zupę na talerz. – Trochę pogadaliśmy, pośmialiśmy się... Procę mi zabrał.

– Co ja z tobą mam... – westchnęła kobieta. – A do szkoły to cię siłą zabiorą... Zobaczysz. Już tu dzisiaj był inspektor z urzędu. Że skarga ze szkoły jest. Jak on się nazywał...?

Antek zamarł i nadstawił uszu. Babcia natomiast ciągnęła:

– Brühl. Tak. Nazywał się Brühl. Mówił, że nie chodzisz do szkoły. I że to nie może tak trwać. Że oni wyciągną wobec ciebie konsekwencje i...

– Co to znaczy „konsekwencje”? – przerwał jej chłopiec.

– To znaczy, że jesteś chuligan, a ja nie mam już na ciebie siły. To znaczy, że igrasz sobie i że jeszcze chwila, a zabiorą cię ode mnie. Że będę na swoich starych nogach chodziła cię odwiedzać do ochronki albo nawet do aresztu... Mój Boże, dobrze, że twój świętej pamięci ojciec nie musi tego oglądać...

Jej głos załamał się nagle i zaczęła cicho szlochać.

Antek poczuł, jakby mu ktoś w serce wbijał rozpaloną igłę. Skoczył do babci.

– Nieprawda! – zapewnił gorąco. – Niedoczekanie ich! Nigdzie mnie nie wezmą!

* Ślepe ryby – regionalna, wielkopolska potrawa, rodzaj zupy z przeciera-nych ziemniaków, czasem okraszona słoniną, z różnymi dodatkami.

Przytulił się do jej ramienia, a ona, otarłszy łzy, pogłaskała go po skołtunionej blond czuprynie.

– A cóż ty, nieboraku, możesz na to poradzić?

– Mogę – odrzekł stanowczo, choć w istocie sam nie wiedział, co mówi. – Może mógłbym pójść do pracy...? W garbarni przyjmują, na pomocnika murarza mogę iść albo do fabryki!

– Do pracy? Ty się uczyć musisz, Antek, nie pracować. Masz dopiero trzynaście lat... Nic nie umiesz, nic nie wiesz...

– To się nauczę!

– Nie bądź śmieszny – kobieta pokręciła głową. – Nauczyć to się musisz przede wszystkim dobrze czytać i liczyć. A w fabryce tego nie uczą.

– To do buraków pójde! Sezon się zaczyna, potrzebne są ręce do roboty, a do niej nie trzeba być profesorem.

– Ale ja wolę, żebyś ty był profesorem, a nie wyrobnikiem, którym każdy gardzi i do najgorszej pracy najmuje...

Antek spuścił wzrok, nie wiedząc, co powiedzieć. Babcia pokręciła głową zrezygnowana.

– Nic nie poradzisz, musisz się wziąć za naukę... – powiedziała to z takim naciskiem, jakby już same jej słowa miały go zmusić do otwarcia zeszytu. W końcu jednak machnęła ręką i rzuciła tylko:

– Jedz już lepiej, bo ci stygnie...

Chłopiec posłusznie wrócił do kuchni i zaniósł talerz z zupą do stołu. Nalał też drugi i postawił obok.

– Zjedz ze mną, babciu – rzucił cicho.

– Zjem, zjem – rzekła pojednawczo. – A potem pójdziesz do cioci Katarzyny, ma dla mnie nową koronkę. Będę obszywać obrus na święta. I portki ci muszę zszyć. Znowu po płotach skaleś...

Antek w milczeniu machnął ręką.

Wiadomość o wizycie inspektora szkolnego wywołała w nim lęk. Nie, nie lęk o siebie – chłopiec za nic miał takie przeciwności, przecież nie pierwszy raz ktoś próbował naprostować jego kręte rojberskie* ścieżki. Tu chodziło o coś innego. Dużo bardziej poważnego. Nagle niezwykle jasno uzmysłowił sobie, że jego zachowanie, jego szczeniackie wybryki, jego umiłowanie wolności mogą stać się niebezpieczne przede wszystkim dla babci. Dla jego ukochanej, wspaniałej, jedynej opiekunki... W całej swej włóczęgowskiej naturze, w całym tym swoim ulicznym, oberwańczym charakterze, gdzieś głęboko na dnie serca chował przecież dla niej swoistą wdzięczność, przykrytą pokładami bezczelności i beztroski miłość, do której zresztą sam przed sobą nie chciał się przyznać, a która teraz właśnie dała o sobie znać z potężną siłą... W tej chwili zagrożenia, w obliczu nadciągającej, wcale rychłej katastrofy...

Dobry humor sprzed godziny odpłynął w nieznane i chłopcu zdawało się, że nad jego głową zaczynają się zbierać ciężkie i mroczne, burzowe chmury. Oto po raz pierwszy w swoim chuligańskim życiu znalazł się w sytuacji, w której sam będzie musiał podjąć decyzję dotyczącą przyszłości, a od tej decyzji – i to było w tym wszystkim najtrudniejsze – zależeć będzie los nie tylko jego samego...

Spojrzał ukradkiem na babcię, na jej stare spracowane dłonie i na drżącą nad talerzem łyżkę...

Westchnął ciężko.

Biedaczysko, nie zdawał sobie nawet sprawy, jak przedziwna, niespodziewana i niebezpieczna przyszłość właśnie staje przed nim otworem...

* Rojber (gwar.) – chuligan, łobuz, urwis.

Upadek świętego, czyli kościelna awantura



Antka trudno było zaskoczyć. Zazwyczaj przygotowany był na każdą ewentualność i to z dużym wyprzedzeniem. Być może w tym tkwił sekret jego rojberskiej sławy, że nigdy nie dał się złapać. Zawsze o krok wyprzedzał prześladowców, kimkolwiek byli: wściekłymi niemieckimi żołnierzami z patrolu czy zdesperowanym szewcem, któremu wybił szybę w oknie... Nieuchwytny jak wiatr, zawsze zwycięski. Grał na nosie każdemu, kto chciał go przechytrzyć, zostawiał w pobitym polu każdego, kto chciał mu przeszkodzić. Zawsze, ale nie dziś.

Tym razem zaskoczenie było pełne i druzgocące. Wychodził właśnie ze swojej bramy śmiałym krokiem, pogwizdując i pogryzając jabłko, które wziął ze sobą na drogę w charakterze deseru po skromnym obiedzie. Zdążył jednak odgryźć zaledwie jeden kęs, kiedy w ziemię wmurował go niecodzienny widok. Tadek Małeczki stał naprzeciw wejścia do kamienicy, oparty niedbale o latarnię uliczną, i bawił się małym kamieniem. Stał tak i patrzył z kąpiącym uśmiechem na Antka, jakby chciał dać mu do zrozumienia, że żaden miejscowy cwaniak nie dorasta mu nawet do pięt. Obok Tadzka tkwił z rękami w kieszeniach jego druh, mały rudzielec, po

drugiej stronie ulicy jeszcze jeden, w ciasnej czapce z daszkiem. Czwarty knajder*, w żółtej, brudnej jak kuchenna ścierka bluzie, chował się w krzakach kilkadziesiąt metrów dalej.

– Co, gielejzo**? – parsknął Tadek. – Myślałeś, że cię nie znajdę? Że jak się schowasz pod sutannę, to jesteś bezpieczny?

Antek ochłonął nieco z pierwszego, przykrego wrażenia. Błyskawicznie przemknęło mu przez głowę kilka pomysłów na uratowanie skóry. I właściwie wszystkie dawały szansę ucieczki, a to dodało mu otuchy. Uniósł jabłko do ust i celowo powoli, ostentacyjnie odgryzł kęs.

– Z czego ty się tak cieszysz? – powiedział, głośno mlaskając. – Bo dowiedziałeś się, gdzie mieszkam? Już wiesz. No i co tera? Pójdiesz do mnie? Zupę mi ugotujesz? A może dywan wytrzepiesz?

Zaśmiał się głośno, po czym odwrócił się na pięcie i – nie czekając na reakcję Tadka – wbiegł z powrotem w bramę. Pognął na podwórze kamienicy i skręcił ku szopie stojącej pod parkanem. Skoczył na skrzynię na węgiel, przesadził płot jednym sussem i wylądował na podwórku domu przy Świętokrzyskiej. Gnany tupotem prześladowców puścił się pędem w bramę, wybiegł na ulicę i w kilku skokach dopadł przeciwległego domu. Zanurkował w wąski zaułek i przywarł do muru. Nasłuchiwał.

Tadek i jego banda nadciągali. Byli coraz bliżej, ale Antek czekał. Kiedy ruda łepetyna wychynęła zza rogu, cisnął w nią niedojedzonym jabłkiem. Owoc zakreślił w powietrzu płaski łuk, z głośnym plaśnięciem wylądował na czole zdumionego wyrostka i rozprysnął się na wszystkie strony. Knajder tylko wrzasnął, ale nawet nie zwolnił. Był już o kilka kroków od Antka, kiedy ten spokojnie, jakby z ociąganiem, sięgnął ręką za siebie, wyma-

* Knajder (gwar.) – chłopak.

** Gielejza (gwar.) – niezdara, łamaga, ciamajda.

cał metalowy skobel bramki i pociągnął mocno, rzucając się jednocześnie w czarną czelusć zaułka.

Donośny zgrzyt zardzewiałych zawiasów, a potem piekielny rumor wypadających z komórki pustych beczek rozerwały ciszę wieczoru jak potężna detonacja. Spiętrzone w szopce na tyłach domu drewniane baryłki starego Kilichowskiego wytoczyły się wprost pod nogi łobuzów, skutecznie wstrzymując pogoń.

Antek nie zatrzymywał się. Wiedział, że gra z niebezpiecznym i coraz bardziej zdesperowanym przeciwnikiem. Podwórkami i ogródkami pognął w stronę Żuław, tam puścił się ulicą ku wzgórzu katedralnemu.

Mocno już zdyszany dotarł do Tumskiej, przeciął ją jak wiatr i zamierzał zbiec ku Słomiance. Był coraz bardziej poirytowany, bo odgłos pogoni nie opuszczał go ani na chwilę. Więcej – nierównomierny tupot za jego plecami zbliżał się, zamiast oddalać, a to oznaczało, że prześladowcy mieli więcej charakteru w nogach, niż można było przypuszczać.

I wówczas nastąpiło coś, czego Antek nie mógł się spodziewać.

Było już ciemno. O tej porze roku zmrok zapadał dość wcześnie, latarnie gazowe na ulicach nie rozświetlały ciemności w sposób wystarczający. Szczególnie boczne ulice, wąskie zaułki i mniej uczęszczane, zadrzewione skwery tonęły w mroku. Chłopiec, a za nim pogoń, skręcając z Tumskiej w Świętego Wawrzyńca, zanurzyli się w czerni wąskiej ulicy, biegnąc nią tak, jakby prócz nich nikogo więcej tam nie było. Niestety był...

Tuż przy narożnym domu stała czarna dorożka, z której wysiadała właśnie nobliwa pani w długiej sukni, a za nią, korzystając z pomocnego ramienia woźnicy, kilkunastoletnia dziewczynka o kuli. Zanim Antek zorientował się w sytuacji, zanim zdołał zareagować, już wbił się z rozpędem pomiędzy kobietę a dziewczynkę, rozpychając je bezceremonialnie. Dama krzyknęła prze-

rażliwie, woźnica zamachnął się na chłopca, jakby chciał go złapać, a dziewczynka, odepchnięta najmocniej, zatoczyła się na chodniku i pewnie upadłaby na ziemię, gdyby nie Antek, który obrócił się w miejscu, jak błyskawica skoczył ku panience i podtrzymał ją jedną ręką, drugą chwytając się błotnika dorożki.

– Przepraszam! – wydyszał jak lokomotywa, trochę za głośno, bo obie ofiary jego niespodziewanego ataku stały przecież zaledwie metr od niego.

– Jak chodzisz, pętaku!? – mężczyzna z czarnym wąsem, w czapce z daszkiem i z długim batem w dłoni patrzył groźnie na chłopca. Zrobił krok w jego stronę. – Już ja cię nauczę, chuliganie!

– Nie trzeba! – dziewczyna gestem dłoni powstrzymała rozsierzonego fiakra*. – On na pewno nie chciał. Poza tym nic się nie stało.

Powiedziała to takim łagodnym głosem, że Antek odruchowo spojrział na nią z zainteresowaniem. Była nieco niższa od niego, miała na sobie długą sukienkę i cienki, szary płaszczyk z wysokim kołnierzem. Mały, śmieszny kapelusik przykrywał gęste ciemne włosy upięte w kok. Pod lewą pachą ścisnęła kulę, na której się wspierała. Jednak najbardziej uwagę przykuwały jej oczy. Wielkie, ciemne, smutne i pełne jakiejś dziwnej łagodności. Antek patrzył w te oczy i czuł, że traci poczucie rzeczywistości.

– Jak tak można! – usłyszał dobiegający gdzieś z boku pełen wyrzutu głos kobiety. – Tak się nie godzi, młody człowieku. Czy nie uczyli cię, jak chodzić po ulicy?

– Oczywiście, że uczyli – chłopiec oderwał wzrok od dziewczyny i omiółł spojrzeniem jej opiekunkę. – Ale tych nauk było tak dużo, że jakoś wyleciało mi to z głowy. Mam wiele problemów i, szczerze mówiąc, trudno mi to wszystko spamiętać.

* Fiakier – woźnica.

Kobieta nie była chyba zadowolona z odpowiedzi, bo ściągnęła brwi i otworzyła usta, aby dać mu stosowną reprimendę, jednak nie zdążyła, bo w tej właśnie chwili zabrzmiał perlisty śmiech dziewczyny, którą odpowiedź chłopaka rozbawiła.

– Możesz mnie puścić – powiedziała z szerokim uśmiechem. Teraz jej twarz nie była już smutna ani zamyślona. – Jak widzisz, stoję o własnych siłach.

Istotnie, dopiero teraz zauważył, że ciągle ściska dziewczynę za ramię, podtrzymując ją. Cofnął rękę.

– Przepraszam, nie zauważyłem... – wybąkał trochę zmieszany, ale i zdumiony tym dziwnym uczuciem zachwytu, jakie go ogarnęło. Nagle coś zaświtało mu w głowie. Spojrzał kątem oka na stojących na rogu ulicy prześladowców z bandy Tadka. Patrzyli na niego jak wilki łypią na owieczkę, która jest bezpieczna tylko do czasu, gdy pozostaje pod opieką pasterzy.

Antek zdawał sobie sprawę, że teraz już nie ma wyjścia i musi kuć żelazo, póki gorące. Puścił dziewczynę, ale jednocześnie podsunął jej swoje ramię i rzucił śmiało:

– W każdym razie chętnie pomogę. Proszę trzymać się mocno, bo będzie trzęsło! Naprzód!

Dziewczyna była nieco zdumiona, ale wzięła Antka pod ramię i oboje ruszyli ku otwartym drzwiom budynku.

– O, co to, to nie! – starsza pani rzuciła się do nich i odepchnęła chłopca bez pardonu. – Zabierz te brudne łapska, obdartusie!

– Ależ ciociu! – zdumienie młodej podopiecznej nie było udawane, a jej mina wyrażała wielkie oburzenie. – Co też ty robisz? Przecież on nie chciał nic złego... Prawda?

Obrzuciła Antka takim spojrzeniem, że w chłopaku aż się zagotowało. Momentalnie stracił całą odwagę.

– Nie... – wychrypiał przez ściśnięte gardło, ale zaraz się poprawił. – To znaczy tak! To znaczy nie chciałem... nic... złego...

– Ani mowy nie ma! – nobliwa pani była nieustępliwa. Władowała się między Antka a dziewczynę i objęła ją ramieniem. – Niedoczekanie!

Obie skierowały się do kamienicy. Dziewczynka trochę niezdarnie wspierała się na kuli. Teraz dopiero było widać, jak mocno utyka na jedną nogę. Zanim zniknęły w drzwiach, rzuciła jeszcze Antkowi przelotne, pełne życzliwości spojrzenie.

Chłopak dłuższą chwilę stał jak wmurowany, ale kiedy kątem oka dostrzegł podejrzany ruch opodał, ocknął się natychmiast. To Tadek ruszył ku niemu. Uznał widocznie, że bezpieczna ochrona dorosłych dobiegła właśnie końca i można podjąć przerwany pościg.

Antek rozejrzał się w popłochu. Zrozumiał, że wpadł w pułapkę. Z jednej strony, od ulicy Tumskiej, czaili się Małecki i rudy chłystek, jeszcze ze śladem jabłka na czole, trzeci z chuliganów, ten w czapce, stał z drugiej strony, blokując możliwość dalszego biegu ulicą Świętego Wawrzyńca. Brakowało tylko tego w żółtej bluzie, najwyraźniej spuchł w pościgu. Ale ta konkluzja nie była dość pocieszająca, bo tak czy inaczej, sytuacja zrobiła się nieciekawa. Chłopiec doskonale wiedział, że za wybity ząb Tadek może mścić się w bardzo bolesny sposób, a dotychczasowa skuteczna ucieczka, która jeszcze bardziej ośmieszała prześladowców, działała na Antkową niekorzyść.

Pozostawała tylko jedna droga ucieczki. Wyminął woźnicę, skoczył ku koniowi, wymierzył zwierzęciu potężnego klapsa i wrzasnąwszy na całe gardło, dał susa na ławkę woźnicy. Dźgnięty koń ruszył z kopyta jak ułański ogier i popędził wzdłuż ulicy na złamanie karku. Start był tak gwałtowny, że chłopiec ledwie utrzymał się na koźle. Od ścian kamienic odbił się z wielokrotnionym echem koński tętent i turkot kół.

– Stój! Prrrr! Zatrzymaj się! – krzyczał gdzieś z tyłu fiakier, próbując dognać wóz, który jak wichurka przemknął obok zdumio-

nego wyrostka w czapce, który w ostatniej chwili uratował się przed końskimi kopytami szalonym skokiem w bok. Antek siedział na ławce woźnicy, trzymając się kurczowo żelaznej poręczy, i szeroko rozwartymi oczami patrzył wprost przed siebie.

Karkołomna jazda nie trwała długo. Mniej więcej w połowie ulicy koń – uspokoiwszy się nieco – zaczął zwalniać, dorożka wyhamowała, a z tyłu dał się słyszeć tupot kroków i przyspieszony oddech klnącego w żywy kamień woźnicy.

Antek nie czekał. Wiedział, że celnie wymierzony bat może być bardzo bolesny, a pewne było, że mężczyzna nie omieszką skorzystać z okazji i użyje swego oręża...

Wyskoczył z dorożki. Jednak nie zrobił tego byle jak, na wariata, ale z wielkim znanstwem. Miał dużą wprawę. Żeby zredukować prędkość, dał potężnego susa w tył, w powietrzu skręcił się jak kot, aby ustawić się twarzą w kierunku jazdy, i wylądował miękko na bruku, biegnąc obok dorożki.

Przyspieszył. Niosło go jak na skrzydłach. Nie dość, że przebił się przez „blokadę”, to jeszcze zyskał cenne metry. U stóp fary skręcił w ulicę Stromą i zaczął się wspinać mozolnie pod górę. Kiedy dobiegał zdyszany do ulicy Warszawskiej, spotkała go niemiła niespodzianka. Czwartym lontrus, ten, którego brak Antek zauważył chwilę temu, wyskoczył zza kościelnego muru i skierował się wprost na Antka. Ten zdumiony zahamował gwałtownie i odwrócił się. Z dołu gnali ku niemu Tadek, rudy i ten trzeci. Wrzeszczeli tryumfalnie, jakby już byli pewni wygranej.

Tadek dobiegał pierwszy, już wyciągał ręce, aby pochwycić ściganego, już szczyrzył zęby w pełnym zwycięstwa uśmiechu, kiedy Antek ni z tego, ni z owego dał susa w bok, wziął rozbieg, odbił się od masywnej podstawy kościelnego muru i jednym skokiem wspiął na jego zwieńczenie. Zamajtał w powietrzu nogami, chwycił się wystającej cegły i przerzucił całe ciało na drugą stro-

nę. Wylądował na dziedzińcu fary, ale ledwo jego nogi dotknęły ziemi, puścił się biegiem ku świątyni. Nie czekał, aż tamci ochłoną, nie czekał, aż pójda jego śladem, albo poszukają bardziej cywilizowanej drogi przez bramę.

Dopał drzwi kościoła, pchnął ciężkie okute odrzwia, które uchyliły się ze zgrzytem, i zanurkował w chłodny półmrok nawy. Przemknął wzdłuż ściany i usiadł w ławce tuż przy bocznym ołtarzu, opodał ambony w kształcie rybackiej łodzi. Przytulił się do zimnego filara, próbując skulić się jak najbardziej, i znieruchomiał, nasłuchując.

Po chwili na kamiennej posadzce zadudniły kroki wyrostków. Echo zwielokrotniło odgłosy tak, że wydawało się, jakby w kościele zawitał nagle cały oddział wojska. Nerwy chłopca napięte były do granic wytrzymałości. Zamarł, przypominał teraz jedną z figur stojących przy ołtarzu tuż obok.

Tadek i pozostali rozbiegli się po świątyni jak stado wilków, zaglądając w najciemniejsze zakamarki. Mimo że w ich postawie nie znać było szacunku dla *sacrum* miejsca, to jednak odzywali się do siebie głosami ściszonymi aż do szeptu. Tak jakby obawiali się zakłócenia wielowiekowej ciszy.

A może po prostu nie chcieli spłoszyć ściganego...

Ten ostatni wciskał się coraz bardziej w filar i coraz bardziej kulił w ławce. Oddałby teraz wiele za możliwość bycia niewidzialnym albo za umiejętność przenikania przez ściany.

A kroki zbliżały się...

Antek czuł się jak otoczony przez sforę psów zając, który przycupnął pod miedzą i czekał na dogodny moment, aby wyskoczyć i pognać przed siebie. Serce w piersi biło mu jak oszalone, w gardle zaschło jak na pustyni. W uszach szumiała mu krew, a przed oczami zaczęły wirować żółte platy. W tym momencie usłyszał głośne i tryumfujące, ale przez to właśnie złowrogie:

– Jest! Mam go! Dawaj tu!

Antkowi tylko na chwilę przemknęło przez myśl, że to mógł być blef, że prześladowca celowo rzucił „mam go”, podczas gdy chodziło o to, by go właśnie wywabić z kryjówki. Wolał tego jednak nie sprawdzać. Zerwał się z miejsca, skoczył na ławkę i rzucił się ku prezbiterium. Kątem oka dostrzegł jeszcze stojącego tyłem wyrostka. Tyłem! – zakrzyknął w duchu Antek. – Więc jednak blefował, drań!

Było już jednak za późno na ponowne ukrycie się, wszyscy czterej dostrzegli go i ruszyli ku niemu. W sekundę dopadł ściany tuż przy wnęcie z figurą świętego. Dał nura między ścianę i ołtarz. Pogoń bezmyślnie runęła w ślad za nim, trzech chłopcy jednocześnie wcisnęli się w wąską szczelinę i... utknęli pomiędzy ołtarzem a ceglany murem.

Antek tymczasem wyskoczył z drugiej strony i od razu musiał zrobić zwód, bo czwarty chłystek już tu na niego czekał. Dłonie chuligana zacisnęły się na bluzie Antka, ten szarpnął się rozpaczliwie w bok i wówczas stało się coś strasznego.

Chłopca zarzuciło prosto na drugą figurę świętego, stojącą po przeciwnej stronie prezbiterium. Posąg zachwiał się niebezpiecznie, a Antek odskoczył w panice. Goniący go zipnął tylko przerażony, rzucił się ku figurze, ale było za późno. Drewniana rzeźba, dostojnie i powoli, jak przystało na osobę kanonizowaną, zakolebała się najpierw w jedną, potem w drugą stronę, wreszcie – z bezwładnością zupełnie już do świętego niepasującą – z łoskotem huknęła w posadzkę, aż zajęczało.

Pastorał wypadł z drewnianej dłoni i potoczył się z głośnym brzękiem pod nogi Antka. Na domiar złego, przerażony łoskotem Tadek w popłochu wyskoczył zza ołtarza, zaczął o leżący na ołtarzowej mense obrus i nieświadomie szarpnął go energicznie, zrzucając na posadzkę wszystkie sześć świec w złoconych lich-tarzach.